Assia Djebar

Poćwiartowana

przełożyła Beata Kowalska

Noc w Bagdadzie. Na samym dnie głębokiej, szeroko płynącej wody, w miejscu, gdzie nurt spływa lekkim ukosem, pomiędzy miastem i pałacem. Tam, na dnie rzeki Tygrys, spoczywa ciało młodej kobiety. Poćwiartowane. Jego części troskliwie spowito w białe płótno, jakim zasłaniają ciało mieszkanki miasta. Płótno lniane, prawie niesplamione. Prawie nieskrwawione.

Płótno jest zawinięte w kobierzec. Kobierzec z Kurdystanu. Jedwabny, tkany złotą nicią. Cenny.

W połowie zwinięty kobierzec leży w koszu. Obszernym koszu z palmowych liści. Niedawno ściętych. Tej jesieni. Pora zimowa jeszcze nie nadeszła.

Kosz z palmowych liści jest starannie zaszyty nicią z wełny. Czerwonej, w dobrym gatunku. Zaszyty solidnie.

Kosz złożono wewnątrz skrzyni z drewna oliwki. Zamkniętej. Ciężkiej, o zdobnym zamku. Kupionej u najbieglejszego rzemieślnika na miejskich bazarach.

Skrzynia spoczywa na dnie Tygrysu. Na dnie jego łożyska. Nurt przesunął ją niepostrzeżenie o kilka metrów. Może nieco więcej, między miastem leżącym poniżej i pałacem kalifa wznoszącym się nad miejscem gdzie pochyłość dna jest najostrzejsza.

Być może mimo swego ciężaru skrzynia zawędrowała tam, gdzie Tygrys wpływa do miasta... W skrzyni, w koszu z palmowych liści, w środku zwiniętego kobierca, spowite w biały len, spoczywa ciało nieznajomej. I

Ciało poćwiartowanej kobiety.

Równocześnie w Bagdadzie tli się inny dramat, dojrzewa, gotów w każdej chwili przerodzić się w katastrofę. Dramat donioślejszy niż ów banalny przypadek poćwiartowanej kobiety. Związany z żarliwą, burzliwą, okrutną, słodką, niespokojną przyjaźnią, którą Władca Wiernych - „oby Bóg dał mu Zbawienie i był dla niego miłosierny”® darzy swojego pierwszego! wezyra.

Kalifem jest Harun ar-Raszid, a jego ministrem-przyjacielem z dzieciństwa, towarzyszem dni i nocy, doradcą w sprawach polityki i rozrywek - jest sprawiedliwy, piękny, umiłowany Dżafar al-Barmaki.

Tej jednej z wielu nocy kalif, jego przyjaciel Dżafar i Masrur - noszący miecz - udają się, jak lubią to czynić, na wędrówkę po ulicach Bagdadu. Spotykają rybaka, który wracając znad rzeki z pustą siecią, ku pociesze deklamuje wiersze o swej niedoli. A na posiłek czeka pięcioro czy sześcioro dziatek i żona! Jego improwizowana pieśń brzmi patetycznie.

Wzruszony Harun ar-Raszid proponuje rybakowi sto denarów (istną fortunę) za wszystko, co w tej chwili wyłowi z wody; niechaj więc znów zarzuci sieć w Tygrysie! „Wzywaj me imię - dodaje kalif w przebraniu ^Sa przyniesie ci ono szczęście!”[1]

Rybak jest posłuszny temu, którego wziął za wesołego a bogatego huJakę. Jego sieć mozolnie ciągnie skrzynię z drewna oliwki: jakże ciężką i zamkniętą! Rybak stawiają przed kalifem. Oddala się, szczęśliwy i uspokojony stoma dukatami.

[1] Wszystkie kryplocytaly z „Opowieści o trzech jabłkach” podaję za przekładem Anny Miodoiiskiej- -Susulowej (Księga tysiąca i jednej nocy, PIW, Warszawa 1973 [przyp. tłum.].

Zamknięta skrzynia zostaje przeniesiona przez mocarnego Masru- ra do pałacu. W świetle pochodni Dżafar i Masrur wyłamują zamek. Widzą kosz. Przecinają nić z czerwonej wetny. Rozwijają cenny kobierzec. Uchylają prawie niesplamioną zasłonę z białego lnu. Odkrywają ciało kobiety. Młodej poćwiartowanej kobiety.

Nieznajoma, na którą patrzą, jest - jak to przedstawia opowieść legendarnej królowej poranków - biała ‚jak bryłka srebra”!

Na widok martwej piękności, zmasakrowanej i martwej, płyną łzy z oczu kalifa; kalifa o czułym sercu.

Płacze długo. Potem, jak to często z nim bywa, głęboki ból przeradza się w nagły gniew. Szalony gniew wymierzony w przyjaciela!

- Zatem pod moimi rządami popełniane są takie morderstwa! Zatem takie zbrodnie uchodzą bezkarnie, ich ofiary są topione, i nikt o niczym’ nie wie! A za przelaną krew ja będę odpowiadał w Dzień Sądu!... O, Dżafarze,

przysięgam, że jeśli nie znajdziesz sprawcy, zamiast jego ciebie powiesić każę u bram mego pałacu - i dodaje, powodowany tłumioną gdzieś urazą-ciebie i czterdziestu twoich kuzynów Barmakidów!

Dżafar blednie. Pada na kolana:

- Udziel mi, panie, trzech dni zwłoki!

Kalif udziela mu trzech dni zwłoki, lecz wezyr spędza je w domu na rozmyślaniach o rychłej śmierci.

Tymczasem trzeciego dnia przed pałacem cieśle rozpoczynają zbijać drewno na wysokie szubienice, które mają postawić: już czas (dziś, w innym arabskim mieście, Atika wyobraża to sobie, idąc ulicą), tak, już czas powrócić do dziewczyny, do nieznajomej żyjącej, żyjącej i szczęśliwej.

Algier, rok 1994, Atika, nauczycielka francuskiego: języka, który wybrała, którego uczy z przyjemnością.

Inaczej niż kiedyś jej ojciec i matka, którzy n> kolonialnej szkole mogli sią liczyć wyłącznie po francusku: on znał tylko berberski, ona arabski.

71

Alika, która przyszło na świat w roku odzyskania niepodległości, iw wieku dwudziestu lat postanowiła zrobić dyplom z francuskiego.

- Dziwi mnie to - powiedział ojciec. - Jesteś świetna u arabskim, myślałem, ie poświęcisz się studiom nad arabskim, egzegezie Koranu, prawu muzułmańskiemu, czy ja wiem...

- Daj jej spokój - powiedziała matka. - Przecież kiedy w domu sły- szy kłótnie i żarty, to po francusku! W tymjązyku nas ukochała!

Atika, która zna upodobanie matki do opowieści, do literatury, od- powiedziała:

- Zostaną nauczycielką francuskiego; zobaczycie, będę pracować z uczniami naprawdę dwujęzycznymi; francuski pozwoli mi się poruszać po wszystkich przestrzeniach i po wszystkich językach!

Tego słonecznego ranka Atika spieszy do liceum i myśli o ulubionej drugiej klasie. Spróbuje przeprowadzić eksperyment: podda swobodnej lek- turze opowieści kilku pierwszych nocy Szeherezady... Na szczęście zajęcia z tą klasą ma pięć razy w tygodniu, są więc szanse, ze przeprowadzi swobodną interpretację opowieści nawet dziesięciu nocy królowej poranków.

Atika lekkim krokiem schodzi Z położonego na pobliskim wzgórzu przedmieścia: u jej stóp, na horyzoncie, niezmienne morze. Marzy; rozpoczyna w wyobraźni dialog, który wkrótce podejmie z uczniami; myślami jest w Bagdadzie, na brzegu Tygrysu, w czasach Haruna ar-Raszida i jego wezyra, Dżafara al-Barmaki.

Kilka tygodni przed nocną eskapadą kalifa i jego dwóch towarzyszy, w Bagdadzie.

Szczęśliwe małżeństwo. Oboje młodzi. Kochający mąż, dobrze sytuowany, jak jego teść, szanowany kupiec.

Młoda kobieta („pozostanie, niestety, bezimienna, myśli Atika, jakże nadać imię komuś, kto przedstawia się nam w kawałkach?"...) jest zamężna od sześciu, może siedmiu lat. Wydała na świat troje dzieci, synów,

silnych chłopców wymagających karmienia piersią, żywienia... Trzy porody w krótkim czasie. Trzeci synek ma zaledwie sześć miesięcy, kiedy dwudziestojednoletnia matka zapada na zdrowiu. Najpierw poranne niedomagania; ojciec, który ma tylko ją, przychodzi każdego popołudnia.

Jej dotąd jaśniejącą urodę przyćmiewa nagła przejrzystość, starzec widzi pobladłe policzki, czuje niepokój; radzi córce, by poprosiła o drugą służącą. Sam by jej płacił, gdyby nie lękał się urazić zięcia. Wie, że nie jest przesadnie oszczędny; nie wątpi w jego miłość do żony.

Osłabiona kobieta, odczuwając poranne znużenie, a chwilami nagle, nieokreślone zachcianki, obawia się kolejnej ciąży. Czwartej! Nie może o tym rozmawiać z ojcem. Nie ma matki, która osierociła ją w dzieciństwie, ani ciotki, ani starszej siostry... Ach, gdybyż mogła uniknąć następnej brzemienności, następnego ciężaru, wydania na świat następnego dziecka! Znów odarta z sił, komu ma się zwierzyć, komu się przyznać do zmęczenia życiem, ciężarem dawania życia? I jak żyć, to znaczy kochać, nie dając życia? Czy to źle, że już nie chce tego brzemienia, rodzenia dzieci czy to płci męskiej, czy nie, tych ciał tak żarłocznych, karmionych piersią, nienasyconych, ach jak to... Której kobiecie mogłaby to wyznać?

Dom jest pełny, dom jest szczęśliwy: trzech chłopców, ich nieobecny rano i wieczorem ojciec, dziadek przychodzący popołudniami. Czuwa nad nimi

służąca, taka młodziutka, nastoletnia, mówiąca obcym dialektem. Ale nie ma matki, nie ma przyjaciółki, nie ma choćby starej kobiety: mąż, zgodny w tej kwestii z teściem, wystrzega się ich w obawie przed rajfurkami.

Zasmucenie rośnie z dnia na dzień. Nie, to nie drugiej służącej jej trzeba. Co wieczór mąż, wesoły, niespożyty, obejmuje ją, pieści, pobudza. Lubi spać całą noc w jego ramionach. To on wstaje, gdy w drugim końcu sypialni jedno z dzieci jęknie przez sen. Młodą kobietę przytłacza niepojęte zmęczenie. Nie tylko rano, kiedy mąż wychodzi do swego sklepiku, do interesów. Pewnego wieczoru wzdycha; są dni, kiedy nie opuszcza łóżka: Nocą, w pościeli, w świetle świecy o zapachu melisy, jej ulubionym, odsuwa się od męża bez słowa.

Jeden raz. Drugi raz. W jego serce wkrada się chłód. Nie mówi nic. Nie nalega. Czasem w dzień, wśród męskich dyskusji, nagle milknie, chmurzy się. - To prawda, jest chora — mówi do siebie w drodze do doniu nakazując sobie cierpliwość, czułość, która nic nie żąda w zamian.

Młoda kobieta postanowiła nie wyjawiać podejrzenia kolejnej ciąży, które rozjaśniłoby ukochaną twarz, ale ją samą napawa goryczą. To prawda, że chłopcy są uroczy. Szczególnie najstarszy, już pięciolatek, niesforny, roześmiany; włóczy się z dzieciarnią z uliczki. Powinna mieć wszystkich trzech na oku w zamkniętym ogrodzie. Ale dziecko ucieka. Matka nuży się upominaniem; woli ciążącą wokół ciszę.

Pewnego ranka niespodziewana chętka tak jej się daje we znaki, że mimowolnie zaczyna mówić (być może podświadomie poddała się: będzie miała czwarte dziecko, los tak chciał, a los tym razem może da jej córeczkę...).

Słyszy swój głos w rozproszonym świetle początku jesieni; jeszcze niedawno drzewa dawały tyle owoców:

— O panie, jakże dziś marzę, by schrupać jabłko! Jabłko czerwone! Twarde, lecz rozpływające się w ustach, lecz w środku soczyste, jak kiedyś!

Szykujący się do wyjścia mąż zamiera na dziedzińcu, wraca, uśmiecha się pełen niespodziewanej nadziei.

- Nie widziałem ich ostatnio na targu, ale twoje życzenie będzie spełnione, matko moich synów!

I w środku dnia, niepomny obecności służącej, pochyla się ku żonie, gorąco całuje jej wargi. Ona, zaskoczona własnym kaprysem i porywem mężowskich uczuć okazanych poza sypialnią, śmieje się zmieszana.

On wychodzi i perlisty śmiech towarzyszy mu aż na ulicę.

Postanawia zamknąć sklepik, a przynajmniej na kilka godzin lub nawet na cały dzień powierzyć go wspólnikowi.

74

Wypowiedziana w taki sposób ochota na czerwone jabłko (całując żonę, zgadł, że przemówiła spontanicznie, czego wkrótce pożałowała) rozpaliła jego clalo 1 duszę. Ogarnął go żar. Powróciło wspomnienie, wypełniając go swą ostrością przez cały ranek. Cóż dotkliwszego niż niespełnione pożądanie, niż pamięć innego pożądania...

Przypomniał sobie scenę sprzed półtora roku: żona już chorowała, nawet bardzo. Wysoka gorączka. Pierwszy lekarz, drugi lekarz, potem obaj na raz: mąż nie liczy się z kosztami. Dziesięć dni później jest na nogach, szybko wyzdrowiała. Pewnego ranka, rozpalony okresem wstrzemięźliwości - pamięta - daje wyraz swemu pożądaniu:

- Chciałbym tej nocy...

- Ja też, wykrzykuje z młodzieńczym entuzjazmem. Znów chcę cię mieć w sobie, czuć, jak mnie przeszywasz!

Myśli: „Zupełnie jakby po pierwszej gorączce nastąpiła druga". Na progu sypialni, z wargami na jego wargach, recytuje pierwsze wersy poematu o odwzajemnionej miłości:

Ty, który pilnujesz gwiazd,
Bądź mym współbiesiadnikiem!
Ty, który doglądasz błyskawic,
Bądź powiernikiem mycli nocy!

Płonie, gotów ją przewrócić, dotyka jej piersi, w bezładnym uścisku przygniatają do odrzwi.

Bi- Nie teraz, protestuje.

Wymyka mu się 1 ucieka w połyskliwej jedwabnej sukni; wychodzi na dziedziniec wypełniony zapachem kwiatów pomarańczy (zatem było to wiosną, przypomina sobie!...). Stojąc przed nim, bo poszedł za nią, dodaje:

- Dziś pójdę do łaźni! Wyszykuję się, usunę włosy, uwonnlę dla ciebie na tę noc!

Oddala się. Patrzy na jej lekkość spowitą w lśniącą zieleń; kocha to oczekiwanie spełnienia, które potrwa cały dzień.

Na wzmiankę o łaźni przywołana służąca zaczyna się krzątać; obiecuje przesłać balsamy, ekstrakty rzadkich wonności i najrozmaitszych owoców; a żona z tajemniczym uśmiechem na ustach wyznaje:

-Chcę jabłek! Jabłek złocistych i jabłek czerwonych!

Po odejściu służącej kokieteryjnie mruczy, znów bliska, wręcz wczepiona w niego:

-Chcę ugryźć jabłko, zanim tej nocy ty mnie będziesz gryzł!

On zadba o wszystko. Przed udaniem się do łaźni, jeszcze tego ranka, dostanie też jabłka, wybrane spośród najpiękniejszych, on kupi na bazarze całe kilogramy! Tak, wgryzie się w swój ulubiony owoc, wejdzie do gorącej sali, wyjdzie z niej pachnąca, promienna, zaróżowiona, rozpalona, rozpalona dla niego, dla ugryzień, które zada jej tej nocy. Jeszcze tego ranka będzie gryzła jabłka złociste i jabłka czerwone. Wychodzi, gotów ulec wszystkim jej zachciankom, jej pożądaniu i własnemu nienasyconemu pożądaniu: to było półtora roku temu. Teraz jest pewny, że właśnie tamtej nocy został poczęty ich najmłodszy synek. Burzliwa noc - nieokiełznanie i czułość - pełna porywów i uczuć.

- Oby szczęście powróciło - mruczy z takim samym pożądaniem.

Musi kupić jabłka. Jak wtedy. Każe zamknąć sklepik, pośpiesznie przemierza wiele biednych dzielnic, dociera do placu, na którym zbierają się wszyscy handlarze owoców. Przybywają tam o świcie z okolicznych wiosek, potem krążą i wyruszają na inne place...

Chodzi od straganu do straganu. Szuka, myszkuje. Wkrótce musi przyznać: „Ani jednego jabłka, ani śladu! Skończyły się zapewne dobry miesiąc temu!”...

Mogłyby je przywieźć karawany z dalekich krain. Ale to pora handlu daktylami w rozmaitych gatunkach i - po cichu - sporządzonymi z nich trunkami... Są także mango, ananasy, dziwne owoce z Chin i jeszcze dał-

%

szych krajów! Ale jabłek ani śladu! Zadręcza handlarzy, gotów płacić: za jedno jabłko da każdą cenę, ale musi je mieć! Handlarze lekceważąco odwracają głowę: nie ma i tyle!

Niezaspokojony kaprys udziela się także jemu; owoc staje się obsesją: niemal czuje w ustach jego sok, czuje pękającą pod zębami skórkę... Noc odwzajemnionego pożądania oddala się!...

- Może w ogrodach leżących poza potrójnymi murami okrągłego miasta! Zysk jest zapewne zbyt mały, by handlarze przywozili ostatnie jabłka! Któż dałby za nie każdą cenę... w złocie, uśmiecha się wzruszony. Któż, jeśli nie ja, dzisiaj?

Przemierza z powrotem całe miasto. Za murami spieszy pokrytą pyłem drogą, w oddali wznoszą się pagórki pokryte sadami... „To pewne", myśli, i widzi - zupełnie jakby to było tuż obok - żonę wyciągniętą na domowym podwórzu, gryzącą jabłka perłowymi zębami... To pewne, znajdzie owoce na drzewach! Sam je zerwie! Jeśli będzie trzeba, kupi całe «drzewo'!; il

Jest gorąco. Słońce stoi niemal w zenicie; upał wprawia powietrze w drganie. Poranek jeszcze się nie skończył.

„Nie zaproponuję pieniędzy, żeby skusić sadowników! Zaczekam w ukryciu, aż znajdę choć jedno jabłko na drzewie!"

Był gotów postąpić jak złodziej; na próżno. Wszystkie jabłonie są nagie, gałęzie niemal uschły, liście leżą na ziemi. Nie zostanie złodziejem. Zostanie wędrowcem.

Wieczorem wraca z pustymi rękami, lecz roziskrzonym wzrokiem:

- Jutro ruszam do Basry! Przywiozę ci to, czego pragniesz, moje serce!

Ona się nie odzywa, śpi w jego ramionach. Przed chwilą go pocałowała, po raz pierwszy opowiedziała o swym bezgranicznym zmęczeniu ciążącym jej przez cały dzień, gdy on przemierzał miasto, przetrząsał wszystkie sady. Westchnęła:

- Panie, oby to nie była kolejna ciąża!
- Czemu nie, skoro możesz się oszczędzać?
- Czyż jestem dość silna, by wydać na świat czwarte dziecko? — szepnęła i wkrótce potem zapadła w sen.

Przed świtem wstaje, całuje śpiących synów. Z podróżnym tobołkiem na ramieniu wychodzi w ciemność, dołącza do gromady kupców kierujących się na południowy wschód... Pójdzie aż do Basry, tak postanowił.

Ogarnia go coś w rodzaju gorączki podróży. Zostanie tam trzy dni? Dłużej? Nie wie. Skreślił kilka słów, złożył kartkę, polecił służącej (zna kurdyjski, jej ojczysty język) zanieść wiadomość teściowi. Będzie czuwał nad domem każdego dnia, nawet każdej nocy.

Miał zostać złodziejem, a jest wędrowcem. Dla żony. By wyzdrowiała. Teść sprowadzi obu medyków, gdyby pod jego nieobecność jej stan się pogorszył. A może to jabłka, tak pożądane jabłka, przywiezione z końca świata przez kochającego męża przywrócą jej uśmiech, uleczą ją?.,. J

Wyrusza; tak, wyrusza przed świtem. Wędrując w karawanie, nawet się nie odwraca, gdy godzinę później za horyzontem znika okrągła i złocista plama Bagdadu.

To koniec drugiej lekcji Atiki, lekcji z drugą klasą. Odmieniła biei opowieści, ukazała młodą kobietą żywą, drżącą - i władającą mątem miłość. Zachowała jednak dla siebie (długo o tym rozmyślała w czasie porannej drogi do liceum) sceny fizycznej miłości małżonków. Pozwoliła się unieść własnym wyobrażeniom... Tego późnowiosennego ranka Atika wraca do domu na wzgórzu Algieru. Uczniom powiedziała:

- Jutro bądziemy || Basrze! Spójrzcie przedtem na mapą, wrócimy potem do Bagdadu! - Zaśmiała sią: - Rzecz jasna przynieście tekst - tekst arabski, kto woli - i jego przekład.

W drodze powrotnej, spoglądając na ogrom rozciągającej sią w dali zatoki, Atika jest szczą śliwa... szczą śliwa, czując sią bliska tej rodzinie,

tej omdlewającej kobiecie z Bagdadu czasów Hanoia ar-Raszida i Dżafa- ra; to itlolne marzenie prześladuje ją, ale - sama nie wie kiedy - zaczynił sią wahać!...

Podróż męża trwa dziesięć dni. Trzy dni w jedną stronę, trzy w drugą, z inną karawaną, cztery w obcym mieście, dostatnim choć niemal w połowie rolniczym. Wreszcie w bujnym, niespodziewanie odkrytym ogrodzie, uprawianym przez mieszańca (ojciec Jemeńczyk, matka zapewne Hinduska)

znalazł trzy jabłka na delikatnym, szlachetnym drzewku o wysmuklej sylwetce, godnej pędzla natchnionego mi maturzysty.

Trzy czerwone jabłka. Twarde. Niemal idealnie krągłe. Wszystkie nabrzmiałe sokiem, na który czeka cierpiąca młoda kobieta.

Zaproponował:

- Denara! Dwa denary! Trzy denary!

Trzy denary za każde jabłko. Prawie tyle, ile sobie założył: zapłaciłby każdą cenę. Może sobie na to pozwolić. Z Basry zapamiętał tylko ten ogród, tylko zdobyte weń jabłka; nic więcej z tego zgiełkliwego, pokrytego czerwonym pyłem miasta.

Rusza w drogę ze zdobyczą; pięć dni później jest w domu.

Na dziedzińcu, na kanapie wyniesionej kilka tygodni wcześniej, gdy ustały deszcze, odpoczywa żona. Uśmiecha się na widok wędrowca.

Trzej synkowie ściskają go, tłoczą się wokół niego, czepiają się jego nóg. Bierze wszystkich na ręce. Pochyla się z tym potrójnym, ruchliwym brzemieniem nad jej boleścią.

Całuje w czoło. Odurzają go zapachy bzu i jałowca. Z tyłu lekko marszczy się woda fontanny. Właściwie nie słyszy gwarliwego, czasem ogłuszającego zgiełku ptaszarni.

Całuje żonę w czoło. Ona spuszcza oczy. Zaraz wyciąga /. tobołka skarb: trzy purpurowe jabłka.

Ona nie dziękuje; co najwyżej muśnięciem dłoni zabłąkanej na jego kolanach. Uwolniony od chłopców, kuca. Patrzy w ukochaną twarz. gładką jak „księżyc w pełni w miesiącu tęsknoty”: na usta cisną mu się kiście wierszy. Powściąga pochlebstwa, nie chwali sam siebie.

Żona spogląda na jabłka i odwraca wzrok.

Dla niej chciał zostać złodziejem, został tylko wędrowcem.

Nazajutrz, nie, dwa dni później, nadchodzi ów straszny dzień.

Burza piaskowa zaczyna się już wczesnym rankiem. Wiatr, jak zwykle z północnego wschodu; nie jest to wiatr zimny, to wiatr, który pokonawszy skalistą pustynię, spada na stolicę Abbasydów niczym wściekły wilk.

Najbardziej daje się we znaki dzielnicom biedoty, z dala od rzeki. Dostojnicy w swych pałacach i ogrodach zwróconych tyłem do północy i

schodzących tarasami ku Tygrysowi każą uszczelniać mury kobiercami, czasem nawet narzutami. Niewolnicy już o bladym świcie koloru białej sadzy krzątają się, wiedzą, co robić.

W sypialni chorej, w ich domostwie może nie zbytkownym, ale przecież wygodnym, służąca rozkłada jedną obok drugiej, liczne sztuki białego lnu, jakby miały schnąć na słońcu... Chora wychodzi położyć się przy kępie różanych krzewów po lewej stronie, przy wiekowym jaśminowcu, który już nie kwitnie, lecz wciąż chroni wątłym listowiem.

Mąż pojawia się zaraz potem, przez chwilę się przy niej krząta (trzy jabłka leżą w zasięgu ręki na srebrnej, zdobionej tacy). Wydaje kilka niejasnych poleceń dzieciom. Służąca, która już drugi raz od świtu wymiata z tarasów czerwony, miałki piasek, patrzy, jak odchodzi.

Dwie godziny później jest pochłonięty pracą. Na tyłach sklepiku jest magazyn... Przez chwilę stoi na progu, próbuje odgadnąć zamiary nieba: jakby wszystko zamarło, osacza go dziwna cisza. Słyszy jednak odgłosy przechodniów, wózków, osłów, krążących ludzi, potem śpiew tłumu kierującego się do pobliskiej świątyni, zgiełk handlowej dzielnicy - jego dzielfijl nicy, odkąd objął interes po zmarłym przed dziesięciu laty ojcu - znają, żyje jej rytmem, właściwie nie słyszy jej, tak mu spowszedniała.

Niezwykła cisza, która go osacza, zdaje się spływać z wysokości, z przestrzeni. Jak cisza panująca wśród dżinów, tak przynajmniej sobie ją tłumaczy, ale i dlatego, że bez powodu staje się czujny.

- Powiat wiatr | północy - słyszy jakiś glos: to sąsiad, handlarz kobierców.

-Tak - odpowiada - a to dopiero pierwszy dzień!

Zamierza wrócić do sklepiku, zamyślony, nieswój. Powstrzymuje go chyba jakieś przeczucie. „Ten stan niepewności - myśl płynie z po- mrocznialej duszy - ta cisza spływająca z wysokości", to cisza przed burzą, przelatuje mu przez głowę.

I kiedy jeszcze raz spogląda na ulicę przed powrotem do zajęć, widzi go: tak, widzi sprawcę nieszczęścia.

To Murzyn, młody, zdrowy, wysoki, pięknie zbudowany, o silnych ramionach. Murzyn o skórze prawdziwie czarnej i lśniącej; o szlachetnych

rysach: nie pochodzi chyba z Sudanu, ani z Senegalu.

Przypomina niewolników, których kalif, a przedtem jego ojciec, brali do pałacowej służby, których wybierali w dzieciństwie, rzezali i uczyniwszy eunuchami, wyznaczali do straży haremu Pierwszej Matki. Mówiono, że są łagodni, inteligentni i... mimo okaleczenia „niezwykle uwodzicielscy", ¡napomykano.

Tak, tego ranka, kiedy niespodziewanie powiat wiatr, mąż widzi sprawcę nieszczęścia. Nosi szaty w krzykliwych kolorach, zielony jedwab i pomarańczowy zawój z tafty. Zawój rzucający się w oczy, przekrzywiony na kędzierzawych włosach.

Murzyn z roześmianą twarzą idzie wolno tanecznym krokiem. Przykuwa wzrok kupca, który w dłoni afrykańskiego efeba - dłoni uniesionej na wysokość ramienia w zamarłym geście ofiary - widzi jabłko. Jabłko czerwone,, [5]

Mąż robi krok w stronę słonecznego progu. Murzyn już znika w tłumie (właśnie gibkimi ruchami wyminął grupkę żebraków), kiedy młody kupiec wota głośno, bez zastanowienia:

- Niewolniku!

Murzyn odwraca się z wciąż uniesioną dłonią, którą nagle zaczyna obracać jabłko, jak dla zabawy albo w ruchu spodziewanym u jarmarcznego kuglarza. Staje przodem do męża, który znów go woła. Podchodząc, ma na ustach próżny uśmiech.

- Skąd wziąłeś jabłko o tej porze roku? - wykrzykuje młody mężczyzna.

Murzyn zaczyna się krygować, chichotać jak kobieta... Mą wielkie oczy o obrzmiałych powiekach zakończonych długimi rzęsami. Trzepocze nimi niczym zakochana dziewica. Kupiec, który go przywołał, przygląda mu się, widzi harmonijne proporcje niemal atletycznego ciała, słodycz szlachetnych rysów, wreszcie oczy o wyrazie tęsknym i wcale nie

śmiesznym Eunuch z pałacu, to pewne!", myśli i nagle rozchmurzony oczekuje, że zaczepiony Murzyn naturalnie odpowie: w pałacu kalifa niczego nie brakuje! Nawet jabłek, których pora przeminęła! Nawet jabłek, po które maluczcy z Bagdadu muszą jechać aż do Basry!... ,

Wtedy zaczyna wolno płynąć szemrzący głos Murzyna, jakby w wyuczonej przemowie, wspomaganej mimiką i pełnej wykwintnych, wyrafinowanych sformułowań, zawiłych dygresji... Lecz mąż nie słucha, chwyta tylko istotę rzeczy:

— Jabłko dała mi przyjaciółka! Kochanka, niechaj jej imię będzie błogosławione, a uśmiech nie schodzi z ust!... Jej mąż, ten rogacz, jechał aż do Basry, by spełnić jej zachciankę. Przywiózł trzy jabłka, a za każde zapłacił trzy denary. Dała mi jedno przez pamięć o mnie, w dowód wdzięczności za naszą miłość!... Oby tym razem za jej zachcianką pojechał do samych Indii, byśmy mogli spokojnie się kochać! Tak, to jabłko dała mi kochanka, niech będzie błogosławiona najpiękniejsza z pięknych, najczulsza kochanka w tym mieście!

I stroi miny. Mąż cofa się aż do składu. Każe pracownikowi zamknąć sklepik. Zlany lodowatym potem, z zamarłą twarzą postanawia natychmiast wrócić do domu.

Fatalny dzień przebiega jakby w przyspieszonym tempie. Mężczyzna biegnie, nie będzie pamiętał żadnego szczegółu drogi powrotnej. Nie ma jeszcze południa. Tak, jakby wracał na posiłek godzinę wcześniej.

Żona, wciąż w tej samej pozie, jak gdyby wcale się nie poruszyła, jak gdyby zamieniona w posąg. Wzrok męża wbity w tacę. Jego powolny, wyprany z emocji głos:

-Zjadłaś wreszcie jabłko?

Patrzy na niego w pobladłym świetle dnia, w którym przedwcześnie powiał wiatr.

-Nie, czemu pytasz?

Głos zbolały. Wolałaby nie mówić. Zmęczona, czuje się tak zmęczona.^ Ogrodu w głębi dobiega śmiech dzieci.

— Gdzie jest trzecie jabłko? — podejmuje suchym, oskarżycielskim tonem.

Nie wiem H wzdycha chora. - Pewnie je wziął czy zjadł któryś z chłopców!

Zamyka oczy ze zmęczenia. W jej duszy bezładnie błąkają się myśli: „Czy to naprawdę ja kiedyś, jakże dawno, prosiłam o jabłko? Czy naprawdę miałam ochotę jeść? Chcę tylko spać, zapomnieć!”.

Odchyla głowę. Mąż odwraca się nagle.

W głębi dziedzińca trzaskają skrzydła ciężkich drzwi, jakby zwiastowały nieszczęście.

Koniec trzeciej lekcji A tiki. Opuszczając dwadzieścioro uczniów, poleca im przynieść na jutro tekst.

— O następnych wydarzeniach owegofatalnego dnia opowiada mężczyzna, mąż stojący przed kalifem trzy dni po wyłowieniu ciała poćwiartowanej kobiety.

— Ciąg dalszy mamy w opowieści dziewiętnastej nocy — wykrzykuje dziewczyna. — Przecież tam jest piękna małżonka; piękna, ale smutna — dodaje z uśmiechem — ż_ynrł, kochająca, broniąca się, sama nie wiem...
83

Dwójka czy trójka nastolatków postanawia odprowadzić A tiką. Wcią1 mówią... oczywiście o Księdze tysiąca i jednej nocy i jej francuskich przekładach. o pierwszym, jakie okaleczonym, o drugim, z kolei tak bogatym! Rozmowa schodzi na najróżniejsze tematy; cudowna droga, Atika dziwi się niewymuszonej swobodzie, z którą gawądzi z młodymi: przed sobą ma skrzyżowanie, przejeżdżający wojskowy konwój przywołuje ich do rzeczywistości ciągłych alarmów.

- Tu się rozstaniemy — postanawia Atika. Nie chce sią przyznać uczniom, zdają sią ją lubić, do osaczającego ją, tłumionego ląku, jaki W niej budzi ta dzielnica na skraju miasta, gdzie wraz z mążem znaleźli mieszkanie. I

Krew uderzyła mi do głowy. Owładnięty szałem zazdrości przeciąg łem gardło tej, którą posądzałem o niewierność... Czy byłem sobą, czy naprawdę byłem sobą, gdy w ślepej furii odcinałem jej głowę, kaleczyłem ciało i przeniknięty nieznanym chłodem postanawiałem spowić poćwiar-| towane ciało w biały Jen?...

Tak brzmi wyznanie.

Wyznanie męża-zabójcy złożone w dniu, kiedy cieśle wznoszą szubienice dla Dżafara, wezyra kalifa: dla niego i jego czterdziestu kuzynów, i

Lud płacze, lud opłakuje już wkrótce mający się spełnić, męczeni ! ski a niezawiniony los pięknego Dżafara. Wtem lamentujący tłum roztrą-f ca

zabójca, miody mężczyzna o szlachetnym wyglądzie:

H- Mnie wymierzcie karę! Ocalcie życie wezyra Dżafara!

Na to pojawia się kolejny męczennik, sędziwy starzec. |

- Weźcie mnie w jego miejsce! Jestem stary! Jestem winny! Ofiara to moja córka, w zaślepieniu chciałem pomścić honor!

Starzec i urodziwy młody mężczyzna - ojciec i mąż poćwiartowali nej kobiety Ho baj zawiedzeni przed oblicze kalifa. Prześcigają się w wyznaniach, obydwaj pełni skruchy.

Zgromadzony z tylu tłum oddycha z ulgą na wieść o ocaleniu Dżafara. Czterdziestu uwolnionych Barmakidów - wszyscy młodzi, waleczni i rozumni - wraca do domu.

Wstrząśnięty rozwojem wypadków tłum czeka przed pałacem. Niektórzy wierzą w winę męża, inni chcą kary dla starca, ale są i tacy, którzy twierdzą, że starzec poświęcił się dla wnuków, by nie zostały podwójnymi sierotami...

A ciało, poćwiartowane ciało młodej kobiety odnalezione trzy dni wcześniej, czeka, znów spowite w białe płótno, nić z czerwonej wełny roz-supłana, kosz z palmowych liści otwarty, kobierzec rozwinięty, zamek skrzyni z drewna oliwki wyłamany...

Od trzech dni pod okiem kalifa palono kadzidła, wciąż dymiące wokół ciała ciągle jeszcze niepogrzebanej kobiety.

Wtem przez tłum przetacza się krzyk: „Zabójcą jest mąż. Sam podał wszystkie szczegóły: o nici z czerwonej wełny, o koszu, o materii kobierca, o zdobnym zamku skrzyni... Jest w rozpaczy: po zatopieniu skrzyni w wodach Tygrysu, w domu zastał najstarszego syna we łzach; dziecko wyznało mu, że na ulicy jakiś Murzyn odebrał mu jabłko wykradzione matce. Chłopiec błagał go, mówił, że ojciec zawędrował po te owoce aż do Basry, że zapłacił za każdy z nich całą fortunę, niewolnik odszedł. Dziecko nie śmiało wrócić do domu i przyznać się matce do przewiny!". I —Zatem - rzuca ktoś z tłumu - starzec wybaczył zięciowi i pragnie tylko połączyć się z ukochaną córką po śmierci!

„Szlachetny ojcze! - śpiewa tłum - Piękny zabójco!", odzywają się głosy czułych na żal męża.

Ciało poćwiartowanej kobiety spoczywa w pobliżu sali posiedzeń rady

kalifa. Niepogrzebane. Nieopłakiwane.

Lud Bagdadu zaczyna się rozpraszać pod murami, gdy znów, niczym piaskowy bicz, uderza weń zatrważająca nowina:

- Nad wezyrem Dżafarem znów zawisła groźba śmierci!

- Kalif znów dał mu trzy dni na odnalezienie winnego! Jeśli tego nie zrobi, poniesie śmierć w jego miejsce!

- Winnego? Jakiego, skoro mąż sam się przyznał?

- Tak - przyznaje wysoki dygnitarz opuszczający pałac, wokół którego tłoczy się niecierpliwa ciżba. - Książę Wiernych, oby Bóg dał mu zbawienie i był dla niego miłosierny, w swej mądrości orzekł, że czyn męża jest godny wybaczenia, bo jego gniew był uzasadniony!... Winnym jest chełpliwy Murzyn, który oczernił młodą kobietę!

Kobietę poćwiartowaną.

Mąż-zabójca w swej rozpaczy nie umie się oderwać od kalifa, który obdarzył go uczuciem.

Tylko ojciec opuszcza pałac z tragiczną twarzą. Idąca w szeregu służba niesie przed nim skrzynię z drewna oliwki.

Dżafar al-Barmaki musi odnaleźć chełpliwego Murzyna-oszczer- cę. Jak go rozpoznać w mieście, gdzie spokojny żywot wiodą setki eunuchów, niewolników, wyzwoleńców z Sudanu, Etiopii i innych krajów?

Dżafar wraca do domu. Rozmyśla, znów szykuje się na przyjęcie śmierci. Tym razem napięcie w mieście jest mniejsze, bo liczni kuzyni wezyra uszli cało. Dżafar zakazał im przychodzić, wspierać go obecnością... Kalif mógłby znów rozciągnąć gniew na cały ród.

Nie, Dżafar woli oczekiwać spełnienia losu w samotności. Co najwyżej wśród najbliższych: żon, faworyt i konkubin, dzieci, nawet najmłodszych.

Łzy i westchnienia bliskich, gdy nadchodzi chwila pożegnania, gdy Dżafar wstaje, by udać się do pałacu, gdzie zapewne czeka go kaźń.

Podchodzi najmłodsza córka, jego ulubienica: nie rozumie, czemu wszyscy się smucą. Ojciec tuli ją z pełną powagi twarzą: ona z czułością ściska go długo, myśląc, że wyrusza w podróż. Znów go całuje, kiedy Dżafar w kolejnym uścisku pyta:

- Co ty tam masz pod suknią?

Wyczuł bowiem na dziecięcej piersi jakiś krągły ruchomy przedmiot, zabawkę ukrytą pod tkaniną. Rozbawiona, zanosi się śmiechem:

-To nie zabawka, tylko zwyczajne jabłko!

- Jabłko? - pyta zaskoczony ojciec.

Dziewczynka żywo dobywa zza stanika szkarłatne jabłko i pełna czułości opowiada:

- Dał mi je Rajhan, nasz niewolnik!

- Rajhan?...

Przyprowadzają urodziwego Murzyna: przyznaje się. W jakiejś uliczce odebrał jabłko dziecku, choć płakało, chciało zachować owoc przywieziony przez ojca aż z Basry. Tak, potem wałęsał się cały dzień po bazarach ze szkarłatnym jabłkiem w dłoni... Tak, dał do zrozumienia, kiedy go zapytano, że to piękna przyjaciółka ofiarowała mu ten owoc, jakże rzadki 0tej porze roku... Wreszcie nazajutrz postanowił ofiarować jabłko córeczce Dżafara, tak ją kocha.

Dżafar musi rzucić winnego do stóp Haruna ar-Raszida; żałuje jednak, że sam nie ukarze „chełpliwego Murzyna-oszczercy" mieszkającego pod jego własnym dachem.

Przez całą drogę Dżafar o miękkim sercu, uszczęśliwiony ocaleniem, waży w myślach postępek niewolnika: nie jest to grzech ciężki, ale 1 przewina mniejsza, niżby się to zrazu zdawało!... „Jak bronić sprawy mojego eunucha? Jak dla niego uzyskać łaskę?", rozmyśla.

W pałacu, opowiedziawszy Harunowi o faktach i okolicznościach w jakich prawda wyszła na jaw (jak gdyby uczynione w samą porę wyznanie dziewczynki mogło zapobiec zgubnym skutkom lekkomyślności chłopca, który skradł matce jabłko i sam został go pozbawiony), Dżafar wpada na pomysł: proponuje opowiedzieć kalifowi nie mniej niezwykłą historię.

- Bardziej zadziwiającą niż historia tego Murzyna? To by mnie zdziwiło - kpi Harun ar-Raszid.

- Puszczę wodze wyobraźni, będę cię trzymał w napięciu opowieściami pełnymi nagłych zwrotów: sam, panie, ocenisz. Posłuchaj mnie, a jeśli opowieść ci się spodoba, łaska, o którą proszę...

- Jaka łaska, przyjacielu?

- Życie dla Rajhana: uszczęśliwisz mą najmłodszą córkę!

- Przyjmuję wyzwanie! - odpowiada Harun ar-Raszid, usadzając przyjaciela u stóp swego łoża na cały jesienny dzień.

W czasie toczącej się właśnie czwartej lekcji uczniowie drżą z niepokoju o los chełpliwego Rajhana (jego imię oznacza „wonna bazylia"), choć to on jest odpowiedzialny za śmierć młodej żony, za szał zazdrości męża.

- Mam nadzieję, ie Dżafar okaże się dobrym gawędziarzem i uratuje Rajhana - szepcze nastolatka w białym czadorze o brzegach zdobionych haftem. Zaczyna recytować po arabsku jakże znany hadis:

„Jak powiedział Prorok, niech go Bóg błogosławi i obdarzy zdrowiem, «Mojej społeczności przewodzić będzie najlepszy z wiernych, choćby był sudańskim niewolnikiem!»".

- Jak sami widzicie, mówi słodkim głosem, islam jest religią równości!*')

Inna uczennica podskakuje na miejscu i odcina się po francusku:

- Może mi więc powiesz, czy ta równość obejmuje także kobiety, proste kobiety ? Czy kobieta mogłaby kierować „ naszą | (zaimek dzierżawczy akcentuje ironiczną nutą) społecznością?

-iiCzemu nie — odpowiada pierwsza także po francusku. - Spójrz tylko: w niejednym kraju arabskim premierem jest kobieta!

Klasę ogarnia poruszenie. Atika uspokaja:

- Nie jest to lekcja nauk politycznych, ani religii! Przypominam, że omawiamy fragmenty przekładów Księgi tysiąca i jednej nocy/

Wstaje wysoki, chudy chłopiec, zaczyna mówić drżącym głosem, nagle przerywa, zamiera, purpurowy ze wstydu.

- Czy mogę coś powiedzieć? Zauważyłem, że podejmując się zabawienia kalifa opowieścią, Dżafar staje się odbiciem Szeherezady. Tak jak ona musi użyć wyobraźni... (szuka słowa, czyni gest) w sytuacji przymusowej: jeśli władcy nie wciągnie opowieść, zapadnie okrutny wyrok śmierci!

Urywa, potem sztywno siada.

- Ale - odcina sią koleżanka z ławki, brunetka o figlarnych oczach -Szeherezada ryzykowała własne życie każdej nocy, a raczej każdego poI

ranka. A Dżafar, choć śmierć groziła mu dwukrotnie, broni życia swojego niewolnika!

- Oboje macie racją — odpowiada Atika, żywo włączając sią w dyskusją. - Czy jednak nie pomyśleliście, że Szeherezada, posługując sią osobą Dżafara, zdaje sią mówić swemu groźnemu panu: „Mogłabym być, Panie, twoim wezyrem, twoim Dżafarem; miłujesz go, ale i mu zazdrościsz• służy dobrą radą, cieszy sią popularnością, ale czasem, Harunie, obawiasz sią w nim rywala!Wówczas królowa poranków mogłaby sią bronić: „Ja nie mam czterdziestu równie zasłużonych kuzynów, którzy mogliby stać sią w twoim królestwie groźną siłą polityczną!

— W takim razie—wykrzykuje pierwszy chłopiec, tym razem nie wstając - czy można powiedzieć, że Księga tysiąca i jednej nocy zawiera treści polityczne?

— A nawet feministyczne - chichocze koleżanka z ławki, ta brunetka. - Szeherezada w roli wezyra, cóż za rewolucja jak na tamte czasy!

Cała klasa śmieje sią w wesołej wrzawie.

Okna komnat, w których Harun ar-Raszid chętnie spędza wolne chwile, wychodzą na miasto i rzekę... W głębi, za zasłoną z przejrzystej gazy, w oczekiwaniu na każdy gest pana stoi grupa śpiewaczek i muzy- kantek niczym nieme posągi.

Poniżej, na tarasie pośrodku dziedzińca wyłożonego białym marmurem i niebieskimi kafelkami, przy misie szemrzącej wody spoczywa półnagi wielki niewolnik ze skórzanymi pętami na kostkach: Rajhan, którego życie zależy od snutej wyżej opowieści, skierowanej do jednego tylko słuchacza, Haruna ar-Raszida.

Który słucha swego faworyta.

Dżafar mówi. Omotany głosem królowej poranków, legendarnej ga- wędziarki, rozwija niczym z kłębka koncentryczne kręgi opowieści snutych przez dzieje i pokolenia w mieniącej się przestrzeni metropolii, o których marzy każdy muzułmanin: zgiełkliwym, ludnym Kairze, wyrafinowanym Damaszku, tajemniczym Aleppo i handlowej, nadmorskiej Basrze.

Dżafar opowiada o wezyrach i ich synach, zdanych na laskę władców, którzy potrafią wprawdzie docenić talenty i przymioty swych shig, lecz

kierowani kaprysem bądź zranioną miłością własną pozbawiają ich łask i prześladują. Takie są blaski i cienie władzy.

W przeciwieństwie do Szeherezady, Dżafar snuje swą opowieść za dnia, od świtu do zmroku. Wielokrotnie ją przerywa, a wówczas są wnoszone poczęstunki (orszada, ziarnka granatu przyprawione migdałami, sor- bety z rzadkich owoców), w tym czasie odzywają się instrumenty muzy- kantek, a śpiewaczki intonują strofy o miłości do piękna, o jego marności... W każdej przerwie opowieści władca pyta o skutego kajdanami eunucha, który czeka na wyrok, o los męża wciąż opłakującego utracone szczęście...

Wokół pałacu stłoczyli się chyba wszyscy poddani: rzemieślnicy i kupcy, żołnierze i właściciele łodzi, nawet dzieci i żebracy, tylko kobiety pozostają w odosobnieniu na dziedzińcach i w pałacach; wszyscy przeżywają ten ostatni dzień niepewności.

Po tym jak ustały młoty cieśli, w prażącym słońcu tego „miesiąca tęsknoty" ogromna szubienica rzuca cień, który wciąż czeka na ofiarę.

Dżafar rozwija pierwszy krąg opowieści o braterskiej, niemal bliźniaczej więzi łączącej dwóch synów wezyra Kairu; jeden nosi imię słońca („Słońce Wiary", Szams ad-Din), drugi imię światła („Światło Wiary", Nur ad-Din); kochają się i tak prześcigają w urodzie i wdziękach, że obaj otrzymują godność wezyra; piastują tę funkcję na zmianę, co drugi dzień, lecz każdego dnia pozostają sobie bliscy, nie rywalizują. „Ta sama miłość

z obu stron, o Panie!" Prawdziwe braterstwo, z urodzenia i z serca!! Aż po dzień...

Snując plany na przyszłość, dla zabawy, oto zaczynają się kłócić: Gdybyśmy obaj tego samego dnia pojęli za żony dwie siostry, gdyby-' śmy tej samej nocy poślubnej spłodzili dziecię, ja dziewczynkę, a ty chłopca?: -1 gdyby piętnaście lat później mój syn poślubił twoją córkę, dalejże, rywalizujmy, Nur ad-Dinie.

— Zażądałbym wykupu godnego nieskazitelnej urody córki, niezależnie kto by się o nią starał!

HH- Jakże to sobie wyobrażasz, wykrzykuje młodszy brat zdjęty złością, to przecież mój syn!

Wybucha kłótnia: zwada, nieprzemyślane słowa, pogróżki ze strony* ■ starszego, który ma towarzyszyć władcy w podróży. Kiedy wraca, okazu-1 je się, że młodszy brat zniknął! Na zawsze...

W obawie przed gniewem brata Nur ad-Din ucieka na swej po książęcemu osiodłanej mulicy. Ucieka jak najdalej: nie zatrzymuje się całymi dniami, aż do Basry... Tam ujmuje wdziękiem i pięknymi manierami wezyra, który przedstawia go władcy, a nawet oddaje mu za żonę jedyną córkę. Któżby sobie wyobraził, rzuca na stronie gawędziarz Dżafar, że tego samego wieczoru, w Kairze Szams ad-Din także bierze sobie żonę?

Czas płynie; tylko on jest naprawdę nieubłagany. W Basrze stary wezyr ustępuje miejsca zięciowi, któremu na świat zdążył przyjść najpiękniejszy z synów, dał mu imię Badr ad-Din. Dzień po dniu toczy go tęsknota za ojczystym krajem, gorycz rozstania z bratem.,.

Nur ad-Din zapada na zdrowiu: czując,, że siły go opuszczają, wzywa syna, piętnastolatka o niezwykłych przymiotach. Opowiada mu

o Kairze, o kłótni z ukochanym bratem, o rozstaniu. Każe mu utrwalić swe słowa na zwoju papieru, z którym Badr ad-Din ma się nigdy nie rozstawać.

Nur ad-Din umiera. W Kairze jego brat Szams ad-Din spłodził tymczasem piękną córkę, Sitt. Patrzył, jak rosła, aż przyszła pora wydania jej za mąż!

- Zatem - w pół słowa przerywa Harun ar-Raszid - choć Nur ad- -Din umiera, dawny zamysł braci może mimo wszystko się ziścić?

Dżafar-gawędziarz uśmiecha się, rozbawiony niecierpliwością kalifa. Następuje przerwa.

Na tarasie Rajhan budzi się, porusza. Córka Dżafara przekrada się z posiłkiem. Jedna z faworyt kalifa nie może się oderwać od okiennicy, ośmiela się przesłać pięknemu Murzynowi filiżankę oślego mleka.

Harun ar-Raszid słucha gruzińskiej śpiewaczki, która na jego znak zaintonowała smutną pieśń. Wtóruje jej niewidoczny cytrzysta:

„ Czyż gołąbki ze wzgórza nie powróciły ze swej drogi, gdy wasze głosy, kobiety, napełniają mnie smutkiem?

Tak, powróciły, ale wracając, nie zabity mnie, a ja im nie zdradziłem sekretów.

Zdawały się pijane gorączką, szalone.

Oczy me nigdy nie widziały takich gołąbek, lejących łzy z oczu oślepłych od płaczu!"

Gdy pieśń dobiega końca, kalif odprawia artystów; zwracając się ku Dżafarowi, podaje mu kielich pełen pomieszanych napojów.

- Jak te gołąbki - przeprasza Dżafar, odmawiając napitku - jestem pijany gorączką opowieści!

- O przyjacielu, któremu nie poskąpiono elokwencji - odpowiada Harun - wysłucham do końca historii zrodzonej z twej wyobraźni!

- W przypadku Dżafara nie ma mowy o wyobraźni - gwałtownie przerywa najmłodszy z uczniów Atiki, gdy ona zamierza odłożyć opowieść do jutra. Chłopiec ciągnie:

- Naprawdę, żywą wyobraźnię miała Szeherezada, pani nocy! To ona była pierwsza.

- Tak - podpowiada koleżanka z ławki — słynna gawędziarka pewnie się skryła za innym bajarzem: po prostu przybrała maskę!

Dotąd milczący chłopiec czuje przypływ odwagi:

- Czy opowie nam pani o innych tłumaczeniach francuskich poza przekładem Gallanda? Zdaje się ono mocno złagodzone, a właściwie ocenzurowane w stosunku do oryginału...

Atika patrzy na zegarek: ma kwadrans na odpowiedź na to istotne pytanie, ale czy jutro znajdzie dość czasu, by omówić opowieść wezyra Dżafara z wszystkimi jej interpretacjami?

„Trzeba będzie powrócić do ciała poćwiartowanej kobiety — mówi sobie w zamyśleniu — tak szybko się zagubiło tv obfitującej w barwne wątki opowieści.

Ile mi zostało do końca lekcji, co najwyżej dziesięć minut na dyskusję - zadaje sobie w myślach pytanie. - Czy zdążę jutro zakończyć opowieść? Wyczerpać wszystkie możliwości interpretacji?”

Hałas w korytarzu, jeszcze odległy, nieokreślony. W nagłej panice, stłumionej, bo przecież niemądrej, Atika po raz ostatni przez kilka sekund pyta samą siebie:

„Czy jutro zdążę zakończyć opowieść?"

Z zewnątrz dobiega rytmiczny odgłos coraz głośniejszych kroków. Mocno pchnięte drzwi szeroko się otwierają. Klasa zamiera.

Wchodzi pięciu mężczyzn: czterej są mocno zbudowani, w mundurach żandarmów czy żołnierzy, piąty chuderlawy, bez zarostu i broni, tylko z nożem, czy raczej krótkim sztyletem w dłoni. Śmieje się głupkowato, on jeden w cywilu; wydaje się z nich najmłodszy; a kiedy odwraca się do grupki żołnierzy, jeden z uczniów znajduje odwagę, by szepnąć:

94

-Patrz, jest garbaty!... - i chłopiec myśli, że oto pojawiła się postać z baśni.

Weszli, czterej zarośnięci, uzbrojeni, obojętni, jeden o wyglądzie głupka albo aktora transwestyty. Weszli bez pukania.

Atika, która zastanawiała się, czy na jutrzejszej, ostatniej lekcji o Tysiącu i jednej nocy, zdąży zakończyć opowieść zrodzoną w wyobraźni Dża- fara i ocalić życie niewolnikowi Rajhanowi; Atika będąca jednocześnie tam, w Bagdadzie, gdzie toczy się pojedynek między wezyrem i jego kapryśnym panem, i tu, w realiach jej miasta, zwraca głowę ku przybyszom.

Patrzy na nich i silnym głosem pyta po arabsku:

- Kim jesteście i czego chcecie?

- Kontrola - odpowiada jeden z nich po francusku i z bronią wciąż u pasa wyciąga zeszyt.

- Siły porządkowe, żandarmi - rzuca półgłosem jeden z uczniów z ostatniego rzędu. Potem powiedział, że czuł się, jakby wszyscy byli na scenie, przed pałacem kalifa, w Bagdadzie.

ffgSTak - powtórzył wiele dni później - naprawdę czułem w tym rękę kalifa Haruna ar-Raszida, według mnie był okrutny, taki prawdziwy dyk- tator, czułem, że za tym stoi, że zagraża nam i wysyła swoich gwardzistów... tylko za co tak nas karze?

Uzbrojony mężczyzna, mówiący tak dobrym francuskim i wciąż zwrócony ku zesztywniałej, stojącej Atice, ciągnie:

- Ty jesteś Atiką F., tak zwaną nauczycielką, która opowiada uczniom obsceniczne historie?

- Kim jesteście - drżącym głosem pyta młoda nauczycielka, jej ramiona

gwałtownie podskakują. - Wchodzicie z bronią do mojej klasy?

Podchodzą do biurka, osaczają ją wszyscy czterej, ona wciąż stoi, mierzy ich nieugiętym spojrzeniem.

Garbus krokiem tancerza albo wariata zbliża się do pierwszego rzędu ławek, wymachując na prawo i lewo nożem (jeden z uczniów powiedział potem: „sztyletem").

95

- Dalej, kurczaczki, skowroneczki, zamknijcie oczy albo połóżcie się pod ławkami! Zniknijcie mi z oczu!... Nie musicie na to patrzeć: tylko ona, ta wasza nauczycielka (to jedyne słowo wymawia w kulawym francuskim), dostała wyrok!

Potem... Potem krzyki, wycie, osuwające się ciała. Jeden z czwórki mężczyzn pilnuje drzwi. Drugi strzela w powietrze krótką serią: wszyscy uczniowie padają na ziemię, kryją się pod ławkami; jedna tylko dziewczyna, z zamkniętymi oczami, z rękami zaciskającymi się na uszach, nieprzerwanie krzyczy, towarzyszy Atice w długim męczeństwie, przeszywającym krzykiem obłąkanej, skrzywdzonej kotki...

Atika dostaje kulę w serce. Stała za biurkiem. Słychać nadal jej głos, rozwibrowany protestem pomimo pierwszej serii, która kazała pochylić się uczniom, tuż przed strzałem wymierzonym w jej serce: „Wchodzicie z bronią do mojej klasy?".

To jedno zdanie słyszy Omar, najgorszy z uczniów, najmłodszy, najsłabszy. W trakcie ostatniej serii podnosi się. Uparcie sobie powtarza: „Nie będę leżał!". Słyszy jeszcze stanowczy głos Atiki, którą kocha i podziwia.

Omar podejmuje wysiłek, siada. Jego miejsce jest w ostatniej ławce, z boku. Jest mały, myśli, że te uzbrojone zbiry nawet go nie zauważą!

Atika pada na blat biurka. Uzbrojeni mężczyźni cofają się. Szaleniec wymachujący nożem podchodzi do niej. Tak, Omar, on jeden siedzi w najdalszym kącie klasy, on widział. Widział i widzi, jak garbus podchodzi do bezwładnego ciała Atiki, unosi jedną ręką jej głowę za długie włosy - jej długie, ogniście rude, żywe włosy. Drugą ręką pewnym, powolnym ruchem, podcina jej gardło. Przez chwilę wymachuje głową. Potem stawiają równo na biurku. „Śmieje się, szaleniec z koszmarnego snu", myśli Omar, który

patrzy.

Mężczyźni cofają się do drzwi, wychodzą. Szaleniec podryguje w ostatnich taktach dzikiego tańca, potem idzie za nimi. Drzwi trzaskają: poszli. W klasie jest cicho; zza jednej z ławek znów się rozlega płacz, głos zagubionej dziewczynki, jęk płaczki, anonimowej staruchy wylewającej długi potok łez.
%

Omar patrzy.

Omar słyszy. Znieruchomiały, patrzy i słucha.

Z odciętą głową, Atika, kolejna gawędziarka mówi silnym głosem. Na blacie biurka, wokół jej karku rozlała się kałuża krwi. Atika ciągnie opowieść. Atika, kobieta poćwiartowana.

- Przez pięć dni przestawaliśmy z królową poranków, Szeherezadą, z mężem, który przyznał się do zabójstwa..., zDżafarem wyobrażającym sobie braci, synów wezyra, których córka i syn wreszcie się połączą...

Powoli, w ciszy, która rozlewa się kałużą wokół głosu, uczniowie podnoszą się jeden po drugim, siadają znieruchomiali. Atika ciągnie:

- To koniec tysiąca i jednej nocy, o których chciałam wam opowiedzieć, tysiąca i jednej nocy, które królowej poranków przynoszą wolność!

Głos odciętej głowy powoli recytuje na pamięć znane słowa:

„Przez cały ten czas powiła Szeherezadą królowi trzech chłopców. A gdy skończyła ostatnią swą opowieść, powstała i ziemię przed królem ucałowawszy, ozwała się:

- O królu czasu, oto dzieci twoje! Proszę cię, byś mnie wybawił od śmierci przez litość nad tymi dziećmi!

Poleciła:

- Przynieście mi moje dzieci!

Sprowadzili więc do niej czym prędzej trzech chłopców - jeden z nich szedł, drugi raczkował, trzeci zaś był dziecięciem u piersi.

Król zapłakał wówczas, dzieci swoje do piersi przycisnął... ”

Głos Atiki zaczyna tracić siłę, jak gdyby słowa same się dławiły krwią, która skapuje, rozlewa się na blacie biurka.

Omar dopada biurka, odciętej głowy Atiki: „Wysłuchać, chcę jej wysłuchać do końca!".

Potem powiedział, że ostatnie zdanie nie padło z ust Szeherezjady, lecz Atiki, ich ulubionej nauczycielki:

97

„Nocą jest każdy nasz dzień, tysiąc i jeden dzień, tu, u nas, w.„

Uczniowie się rozeszli. Omar wraca do swojej ławki w kącie; MM spuszcza oczu z Atikj, Atiki zamilkłej.

Wreszcie wchodzą dwaj czy trzej mężczyźni w bieli, noszowi w rJ kawicach na dłoniach.

Ciało Atiki, potem jej wreszcie zamilkła głowa z otwartymi oczami („otwartymi i wpatrzonymi we mnie!", mówił sobie Omar), ciałovi głowa Atiki spowite w dwa prawie niesplamione płótna. Prawie nieskrwawione Białe.

Oba płótna z ich zawartością są złożone w dwóch koszach, dwóch obszernych koszach z palmowych liści, zapewne świeżo ściętych,

Oba kosze są wyniesione. Będą zaszyte wełnianą nicią. Czerwofląa nicią w dobrym gatunku.

Solidnie zaszyte.

Kosze będą umieszczone w skrzyni z drewna oliwki. Skrzyni zamkniętej. Ciężkiej skrzyni o zdobnym zamku. Kupionej u najbieglejszego rzemieślnika z kasby.

W skrzyni, w dwóch koszach, spoczną na zawsze ciało Atiki i jej głowa.

Ciało kobiety poćwiartowanej.

- Ciało, głowa, a gdzie głos? Gdzie podział się głos Atiki? > Dręczony tym jednym pytaniem Omar całymi dniami przemierza białe miasto, od naznaczonych różem świtów po wygaszenie świateł.

Białe miasto? Omar toleruje tylko biel: litrowe torebki mleka z taniego plastiku sprzedawane przy każdym wejściu na bazar. Patrzy tylko na żebraczki obsiadające wieczorami skraje ludnych placów,, dające na chodnikach pierś rozlicznym niemowlętom. Omar wpatruje się w połys-kującą niebieskawo biel wapnowanych domów w starych dzielnicach na wzgórzach, gdzie jeszcze zachowały się sady.

Oczy Omara szukają bieli, bo tylko ona może odeprzeć stówa, które go prześladują, przenoszą w nicość, w dal, do dawnego Bagdadu, gdzie

„królowa poranków” niezmordowanie snuje swe opowieści, a za nią zatrwożony wezyr...

- Ciało poćwiartowanej kobiety. Ciało, głowa. Ale gdzie jest jej głos?

W dzisiejszym białym mieście, tak daleko od Tygrysu, Omar wciąż słyszy kalifa Haruna ar-Raszida płaczącego nad ciałem poćwiartowanej kobiety.

czerwiec 1996